

Budżetówka w tarapatach? Minister obniży koszty pracy?



Potencjalne plany ministra finansów dotyczące pracowników sfery budżetowej, które za pośrednictwem mediów docierają do opinii publicznej, muszą co najmniej zastanawiać. Tu warto wspomnieć, że budżetówka od bodaj 8 lat ma praktycznie zamrożone wynagrodzenia, tymczasem średnie płacew gospodarce narodowej wzrosły wtych latach (według danych GUS) o mniej więcej jedną trzecią.

Premier Tusk (jeszcze za swego pierwszego rządu) miał przygotowany dla pracowników sfery budżetowej plan, przekuty nawet w przyjętej wtedy przez parlament (ad hoc) ustawie „o racjonalizacji zatrudnienia w państwowych jednostkach budżetowych”. Na jej podstawie z urzędów centralnych miało zostać zwolnionych 20.000 pracowników. To wywołało słuszną awanturę, krzyk opozycji i sprzeciw związków zawodowych, które szczególnie kwestionowały pozaprawną formę i tryb proponowanych zwolnień. W takiej sytuacji - w nieprzyjemnej dla władzy atmosferze politycznej, prezydent Komorowski skierował ustawę do Trybunału Konstytucyjnego, co ostatecznie wstrzymało zwolnienia.

Ówczesna władza zrezygnowała z przygotowywania innych przepisów, które pozwalałyby na hurtową redukcję pracowników ograniczyła się do symbolicznych, indywidualnych zwolnień. W różnych urzędach było z tym zresztą różnie, ale raczej w skali mikro. Generalnie sprawa szybko rozeszła się po przysłowiowych kościach. A to, (znając taktykę Tuska) pozwala podejrzewać, że był to ruch (jak wiele innych wcześniej i później) obliczony na zwykły PR. To miało być zapewne jego pijarowską odpowiedzią na słusne zarzuty o lawinowym zwiększaniu ilości urzędników. On, biedny premier nawet by i chciał - taki był przekaz - zrobić porządek w budżetówce, ale mu opozycja i związki zawodowe nie pozwalają. Zatem rząd D. Tuska generalnie w budżetówce ludzi nie zwalniał, ale płace (oczywiście nie dotyczyło to swoich) trzymał w zamrażarce. Po przejęciu władzy przez PiS były sygnały - wcześniej podobne wysyłał politycy tego ugrupowania w kampanii wyborczej, odbierane jasno jako wolę odmrożenia płac dla tej grupy pracowników.

Tymczasem dziś do opinii społecznej docierają niepokojące, bo sprzeczne z tamtymi informacje. Wynika z nich, że zamiast odmrożenia płac a tym samym spodziewanego wzrostu wynagrodzeń, minister finansów chce im obniżyć koszty pracy. W 2015 roku wydatki na ten cel sięgnęły 182 mld zł, czyli 10,2 proc. PKB, podobnie ma być w tym roku. A jak donoszą media, MF w 2017r. chce obniżyć koszty pracy do poziomu 9,4 proc. PKB. Byłoby to zmniejszenie funduszu płac o ok. 14 mld zł, a to w praktyce oznaczałoby dwie możliwości, że albo będą cięte wynagrodzenia (a wtedy nici z podwyżek), albo będą zwolnienia.

Na razie rząd nie przyjął planu ministra Pawła Szalamachy, ale jeśli te informacje medialne się potwierdzą i zostaną przez rząd przyjęte? To by oznaczało, że rząd nie tylko, że nie ma zamiaru być dla pracowników budżetówki przysłowiowym dobrym wujkiem, to jeszcze szykuje im plan (złośliwi powiedzą, że to w ramach „dobrej zmiany”) podobny w skutkach do tego, który nieudolnie próbował realizować rząd D. Tuska. I gdyby do tego doszło, to nawet trudno sobie wyobrazić, by spotkało się to ze zrozumieniem u pracowników budżetówki.

Mieczysław Gójski

fot. M. Żegliński

[Tygodnik Solidarność Świętokrzyska nr 26](#)